

NAJPOPULARNIEJSZY NA ŚWIECIE
AUTOR WŁOSKICH THRILLERÓW

DONATO CARRISI

DOM ŚWIATEŁ



ALBATROS

Tytuł oryginału:
LA CASA DELLE LUCI

Copyright © Donato Carrisi 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Anna Osmólska-Mętrak 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Kasie Meszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Zasady gry w woskowe ludziki, inaczej w świeczki albo „świeczka zapalona – świeczka zgaszona, czyli byłeś (i już cię nie ma)”:

1. Woskowy ludzik goni żywych.
2. Kto zostanie dotknięty, staje się woskowym ludzikiem i goni żywych.
3. Woskowe ludziki mają zakaz mówienia. Mogą tylko gwizdać.
4. Gra się kończy, kiedy ostatni żywy wypowiada słowo „Arimo”.
5. Jeśli ostatni żywy nie powie „Arimo”, gra nie kończy się nigdy.

ARIMO

Pietro Gerber zmarł w pierwszy poniedziałek lipca, około dziesiątej trzydzieści rano.

I to wydarzenie miało stanowić zaledwie epizod w szacowanym finale jego życia. Z czasem miało zostać sprowadzone do ulotnej anegdoty, którą można skatalogować w pamięci wraz z wieloma innymi. Byłoby błędem uznać, że po tym incydencie pozostało wspomnienie, bo Pietro Gerber niewiele będzie sobie w stanie z niego przypomnieć.

Jedynie szczegóły poprzedzające pechowe wydarzenie.

Liliowy pokój na pierwszym piętrze willi w Porto Ercole. Zapach lawendy. Zasłane łóżko. Otwarte szeroko na ogród okno z koronkowymi firankami powiewającymi niczym duchy i unoszącymi się w stronę błękitnego nieba. Coś w rodzaju jęku, który wydają jego zniszczone tenisówki na płytkach z terakoty, gdy biegnie, żeby schronić się na balkonie, ścigany przez bandę rówieśników zdeterminowanych, by go schwytąć i zakończyć grę. Pot, który spływa od cebulek włosów na rozgrzane policzki, gdy Pietro przebiega przez pokój. Słonawy smak wpadających do ust kropelek. Zadyszka i bezwiedny uśmiech rozjaśniający mu twarz, kiedy odwraca się na chwilę, by spojrzeć na grupę pościgową. Krótkie spodenki. Sprana koszulka z Pikachu. Strupy na kolanach z powodu zbyt licznych upadków z roweru. Opalona skóra. Woń rozmarynu ukryta w letnim powietrzu.

Beztroska jego jedenastu lat, trzech miesięcy, szesnastu dni, dziesięciu godzin, dwudziestu dziewięciu minut i iluś tam sekund.

Ramiona wyciągnięte w stronę balustrady z kutego żelaza, która według jego przewidywań ma wyhamować rozpęd. Barieryka, która właściwie powinna temu służyć, ale kiedy tylko Pietro opiera się na niej całym ciałem, nieoczekiwanie faluje, jakby była z gumy. I absurdalnie, buntując się przeciw bezruchowi, do którego była zmuszana przez dziesiątki lat, wyrwa się z muru starego domu i rozpoczyna podróż w nieznane, jakby czuła się zdolna zaprzeczyć sile grawitacji i wręcz frunąć. Ten metalowy złom wciąga go swoim ciężarem w przepaść, gdy tymczasem Pietro cały czas kurczowo się go trzyma. Dziecięcy uśmiech gąśnie mu na twarzy, kiedy wpadają razem w pustkę. Oczy wypełniają się przerażeniem na widok zbliżającego się białego żwiru ogrodu. Uderzenie, po którym można się spodziewać czegoś na kształt donośnej eksplozji, jest tylko głuchym i wyraźnym dźwiękiem czegoś, co pęka i poprzedza ciemność.

• • •

A przecież, gdy się cofnąć w czasie, letni dzień 1997 roku rozpoczął się dla Pietra najlepiej, jak to możliwe.

Kuzyn Maurizio przyjechał nad morze, by spędzić czas z nim, ojcem i Adele, zajmującą się nimi gosposią. Pietro został osierocony przez matkę, zanim skończył dwa latka, a ojciec nie ożenił się powtórnie. Pietro był jedynakiem, dlatego Maurizio, którego od zawsze w rodzinie wszyscy nazywali Iscio, najbardziej zbliżał się do postaci brata, choć właściwie byli w tym samym wieku.

Tamtego roku, wkrótce po zakończeniu szkoły, został wysłany przez rodziców na całe wakacje do Porto Ercole. Odkąd

Pietro dowiedział się od ojca, że będzie kuzyn, nie mógł się nacieszyć: dwa miesiące z Isciem, od lipca do września. Nie do wiary, to będzie fantastycznie mieć go w swojej bandzie.

W tym skupisku domów letniskowych położonych w pobliżu cypla, z widokiem na miasteczko i morze, bandy dzieciaków wymieniały się regularnie z pokolenia na pokolenie. Przekazywanie pałeczki między jedną grupą a drugą następowało mniej więcej na początku okresu dojrzewania, gdy traciło się zazwyczaj zainteresowanie pewnymi działaniami przypisanymi dzieciństwu i ci starsi woleli spędzać czas na plaży, gromadzić się na placu pod pretekstem jedzenia lodów w barze Roma albo wieczorami obok klubu King's przed pójściem do dyskoteki Streghe.

Iscio dołączył do małej paczki rówieśników, która od początku lat dziewięćdziesiątych w okresie wakacyjnym przejęła kontrolę nad okolicą. Poza Pietrem i jego kuzynem liczyła jeszcze tylko szóstkę członków pochodzących z różnych części Toskanii.

Ponieważ prawie wszyscy mieli po jedenaście lat, wyczuwało się między nimi jakąś melancholijną zapowiedź tego, że wakacje 1997 roku będą prawdopodobnie jednym z ostatnich, jeśli nie ostatnim latem dzieciństwa. Dlatego od samego początku jakby założyli, że przeżyją je na maksa: będą korzystać ze wszystkich możliwości, które niesie ze sobą status dziecka, i ze swobody, jakiej już nigdy mieli nie zaznać. We wrześniu mieli się pożegnać jak zawsze i wrócić do swoich miast, wyznaczysz sobie spotkanie w następne wakacje. Ale kolejnego roku w Porto Ercole w miejsce starych towarzyszy zabaw mieli się pojawić nieznajomi. Przyjaźń na pewno wytrzymałaby próbę czasu, jednak już sama myśl o powrocie do pewnych zachowań wywoływałaby zawstydzenie.

Ale teraz mogli sobie jeszcze nic z tego nie robić i wygłupiać się, dopóki mieli na to ochotę.

Do grupy należała Deborah ze Sieny, jedyna dziewczynka, choć pozostali nie przywiązywali nigdy większej wagi do płci. Miało się to zmienić następnego lata, kiedy rozwinięta Deborah wprawi ich w zakłopotanie i odkryją w sobie niespodziewane popędy.

Ettore, który przyjeżdżał z Fiesole, miał zwyczaj rozpędzać się na rowerze na stromych zjazdach i hamować w ostatniej chwili stopami.

Najmniej z nich gorliwy był Carletto, bo matka zmuszała go do wielogodzinnej nauki również podczas wakacji. Przez resztę roku mieszkał w Grosseto, nosił okulary i zawsze znajdował jakiś sposób, żeby zrobić sobie krzywdę.

Giovanni z Empoli, nazywany Giovannone, był nieustannie głodny, nosił ten sam rozmiar co jego szesnastoletni brat i słynął ze skoków do wody „na bombę”.

Pochodzący z Lukki Dante miał manię niszczenia rzeczy. Mawiał, że chce zobaczyć, jak są zrobione w środku.

Był jeszcze Pietro Zanussi. Nazywano go zawsze pełnym imieniem i nazwiskiem, żeby nie mylił się z Pietrem Gerberem. Miał trzynaście lat i był weteranem bandy. Z powodu niepostrzymanego działania hormonów już od poprzedniego roku stopniowo odrywał się od grupy, dołączając do starszych chłopaków. Latem 1997 roku jego miejsce zajął brat, Zeno, choć dzieciak skończył dopiero pięć lat.

Zeno Zanussi wszedł do ich grona nie na zasadzie prawa dziedziczenia ani nie dlatego, że był nad wiek dojrzały, ale tak postanowiła Deborah, która uważała go za swojego pupila.

Był zapalonym kibicem Fiorentiny i z wyjątkiem sytuacji, gdy matka zmuszała go, by zdjął do prania fioletową koszulkę

z numerem 9 – należącym do jego idola, Gabriela Batistuty, od którego przejął też pseudonim Batigol – zawsze miał ją na sobie.

• • •

W czasie wakacji w Argentario z dziećmi działa się coś niezwykłego: zapominały o istnieniu telewizji, gier wideo i wszystkich innych rozrywek, którymi wypełnione były popołudnia spędzane w domu w mieście, i – co wydawało się niewiarygodne – poświęcały się identycznym zajęciom co ich rodzice, kiedy byli w tym wieku co oni.

Czas małej zgrai przyjaciół z Porto Ercole od świtu do zmierzchu upływał między nurkowaniem w morzu, zjazdami na rowerze po ubitych ścieżkach, walkami na wodne balony, połowem krabów i niezliczonymi meczami w piłkę plażową pod palącym słońcem.

Ale była jedna gra, której nigdy nie zaliczali do tych, powiedzmy, „oficjalnych”, choć to w nią bawili się najczęściej. Służyła wypełnianiu przerw między jednym zajęciem a drugim, w oczekiwaniu, aż komuś wpadnie do głowy jakaś nowa rozrywka, która wszystkich pogodzi. Jej niewyraźnym głośno celem było niedopuszczenie do tego, by w ich szeregi wkradła się nuda.

Nuda jest głównym wrogiem dziecięcych wakacji.

Czai się w oczekiwaniu na jakąś przejściową chmurę, która choćby na chwilę przesłoni niebo, albo na zardzewiały gwóźdź przebijający oponę roweru, lub na piłkę kopniętą ze zbyt wielkim zapalem i porwaną przez morskie fale.

Dzieci wszystkich czasów spędzające lato w Porto Ercole wiedziały, że najskuteczniejszym środkiem trzymającym nudę z daleka była gra w woskowe ludziki, nazywana też grą w świeczki albo „świeczka zapalona – świeczka zgaszona, czyli byłeś (i już cię nie ma)”.

Chodziło o tokańską wersję znanej na całym świecie zabawy. Coś pomiędzy grą w berka i chowanego. Wylosowany zawodnik – pierwszy woskowy ludzik – miał zadanie wytropienia pozostałych, żywych, by przez dotyk przeobrazić ich w woskowe luszki. Pechowcy, którym nie udało się uniknąć fatalnego losu, od tego momentu mogli włączyć się do polowania. Wszystko działo się w milczeniu, to znaczy bez możliwości wymiany wskazówek dotyczących kryjówki uczestników, za którymi odbywała się pogoń.

Jedyną formą komunikacji świeczek mogło być tylko gwizdanie.

Kto pogwałcił tę zasadę, w ciągu trzech dni umierał gwałtowną śmiercią. I choć żadne z dzieci tak naprawdę w to nie wierzyło, wszyscy bardzo się pilnowali, by nie złamać tego przykazania.

Wśród dzieciaków z Porto Ercole wciąż była żywa legenda o chłopcu z Pizy, który nie mogąc dokończyć gry, bo był to jego ostatni dzień wakacji, wyjechał do domu z ciężącą na nim kłutwą i od tamtej pory, by nie umrzeć w potworny sposób, porozumiewał się tylko za pomocą gwizdnięć.

W teorii zwycięzcą gry powinien być ostatni ocalały. Nie wystarczyło jednak go pojmać, powinien jeszcze wypowiedzieć pewne słowo, by uwolnić świeczki z obowiązku milczenia.

„Arimo”.

Był to tajemniczy termin niosący ze sobą olbrzymią moc, dzięki której można było przeciwników zameczyć i z nich drwić.

Nikt nie znał pochodzenia tego słowa ani nie wiedział, co tak naprawdę znaczy. Prawdopodobnie uległo zniekształceniu na przestrzeni czasu, przechodząc z ust do ust, z pokolenia na pokolenie, aż utraciło swoje pierwotne brzmienie i sens. Ale dzieci nie interesowało jego znaczenie. Wystarczyło wiedzieć,

że wypowiedzenie go kładło kres wrogości. A jeśli ostatni ocalały nie chciał powiedzieć „Arimo”, mali przyjaciele zazwyczaj unieruchamiali go i męczyli łaskotkami, dopóki się nie poddał.

• • •

Jak się często zdarzało, również w tamten pierwszy poniedziałek lipca, dzień śmierci Pietra, nikt nie zaproponował gry w świeczki. Czasem nie było to nawet konieczne. Wystarczyło, że ktoś dotknął drugiego, by rozpocząć pościg. Tamtego dnia pierwszy ruch wykonał prawdopodobnie Iscio. Wyzwanie miało swój początek na placyku przed willą Gerberów położoną na obrzeżu zalesionego cypla.

Pietro był zadowolony, że kuzyn w końcu do niego dołączył. Z tego, co mówili rodzice Iscia, wynikało, że chłopiec jest trochę smutny, bo wiosną zmarł jego pudelek.

Zadaniem Pietra było pomóc mu zapomnieć o tej stracie.

Podczas nadchodzących tygodni miało ich połączyć mnóstwo rzeczy. Niektóre letnie rytuały powtarzały się, odkąd byli bardzo mali. Jak czytanie późnym wieczorem komiksów przy świetle latarki, pod zasłoną z prześcieradeł, albo łapanie na poddaszu pajaków, żeby schować je potem w szufladach biednej Adele. Tamtego ranka ojciec Pietra obiecał wycieczkę łodzią na Isola del Giglio z suchym prowiantem: chlebem, salami i zmrożoną coca-colą.

Aby wypełnić pustkę oczekiwania na wypłynięcie, Pietro i Iscio spotkali się z przyjaciółmi z okolicy, którzy przyszli przywitać się z nowo przybyłym.

Prawdę mówiąc, Pietro nie miał specjalnie ochoty na grę w woskowe ludziki. Może był to rodzaj przecucia, a może tylko lekkie lenistwo. Dzień był jednak tak pogodny i ciepły, że w końcu się nie wycofał.

Nikt by się nie spodziewał śmierci w taki dzień. A już na pewno nie dziecko.

Dzisiaj chcę być ostatnim żywym, pomyślał, podczas gdy pozostali już rozpoczynali zabawę. Chcę zdobyć Arimo i zmusić ich, by mnie ścigali, dopóki nie zaczną ich palić płuca i nie złapią ich skurcze w łydkach. I zrobił wszystko, żeby nie zostać złapanym przez coraz liczniejsze woskowe ludziki.

Ogród willi w Porto Ercole był idealny do tej zabawy: żywopłoty i krzaki oferowały uczestnikom coraz to nowsze kryjówki. Tak naprawdę to miejsce było doskonałe tylko do takiej aktywności, bo – właśnie z powodu wybujałej roślinności – cieszyło się straszną sławą pochłaniania wszelkich piłek i piłeczek: nigdy nie zwracało ich prawowitym właścicielom. Do tego stopnia, że dzieci wracające często do domu z pustymi rękami ochrzciły je Ogrodem bez Nadziei.

W każdym razie tamtego dnia młody Pietro czuł, że ma już zwycięstwo w garści.

Chował się w różnych miejscach, ale za każdym razem go wytropiono i zmuszony był znów uciekać. Parę razy poczuł na sobie muśnięcie palców, które w tych ekscytujących ułamkach sekund naprawdę wydawały się śliskimi kawałkami wosku. Ale prawdopodobnie chodziło o wrażenie wywołane ruchem powietrza, bo nikt nie zasygnalizował dotknięcia. W pewnym momencie, skulony pod kamienną ławką w altanie, Pietro zrozumiał, że jest ostatnim z żywych, bo żadne z dzieci już nie mówiło; nad Ogrodem bez Nadziei zapadła złowroga cisza i woskowe ludziki ograniczały się do wydawania z siebie pogwizdywań.

Wiedziały, że pozostał tylko on, i kontynuowały poszukiwania.

Wtedy Pietro przeniósł wzrok na dom i dostrzegł przeszkłone drzwi do kuchni, które były tylko przymknięte. Do tego dnia

nikt nie ośmielił się wyjść poza teren ogrodu i zabawa w świeczki oszczędziła dotąd wnętrze willi. Ale może nadeszła chwila, by zmienić tę niepisaną regułę. Na pewno nikt się tego nie spodziewa, pomyślał.

Chcę, żeby wbiegli za mną na pierwsze piętro. Chcę ich zobaczyć, jak tłoczą się za mną na stromych schodach, uchwyceni poręczą, z otwartymi szeroko ustami i oczami wychodzącymi z orbit. Chcę, żeby pokładali się na stopniach, dysząc ze zmęczenia.

Tak postanowił. Wyskoczył z ostatniej kryjówki i zaczął wrzeszczeć, żeby zasygnalizować swoją obecność. Krzycząc, ruszył biegiem w stronę dużego domu. Woskowe ludziki wyłoniły się ze wszystkich stron, rycząc jak wygłodniałe bestie, z diabolicznym błyskiem w oczach. Początkowo, co było do przewidzenia, posunięcie Pietra ich zaskoczyło. Ale potem ruszyli w jego kierunku i natychmiast utworzyli zwarty oddział.

Wślizgnął się szybko przez szparę w drzwiach do kuchni i wpadł prosto na zaskoczoną Adele. Ta najpierw wydała z siebie pisk, a potem, zapominając o dobrych manierach, rzuciła za nim przekleństwo w czystym dialekcie tokańskim. Pietro przeprosił, ale nie mógł się zatrzymać. Schody były dokładnie przed nim. Wbiegał po dwa stopnie, czując w piersi coś, co znają tylko dzieci: przerażenie zmieszane z radością. Spojrzał po raz pierwszy za siebie i zobaczył dokładnie taką scenę, jaką sobie wyobrażał, czyli potykających się prześladowców.

Ale nie wyglądało na to, żeby Iscio, który w tej chwili dowodził woskowymi ludzikami, zamierzał ustąpić.

Pietro nie pomyślał o tym, co robi, gdy dotrze na górę. Od początku zakładał, że nieprzyjaciele poddadzą się na schodach. Teraz był zmuszony coś wykombinować.

Dostrzegł otwarte okno w głębi liliowego pokoju, należącego

kiedyś do jego matki.

Rzadko tam wchodził. Choć nie zachował o matce praktycznie żadnego wspomnienia, bo umarła, zanim jego dziecięcy umysł był w stanie wypracować pamięć długotrwałą, jej sypialnia i tak miała dla niego jakiś wymiar świętości. W środku stała na przykład mała komoda, na której ustawiona była kolekcja perfum. Wiele flakoników o eleganckich kształtach, ustawionych jeden obok drugiego w jakimś tajemniczym porządku. Czasem bez wiedzy ojca zakradał się do liliowego pokoju, żeby powąchać jedną z tych esencji. Z upływem lat wiele z perfum wyparowało albo straciło zapach, a w szklanych pojemnikach pozostawał zmętniały bezwonny płyn. A jednak Pietro uparczywie szukał jakiejś namiastki, pozostałości zapachu, w nadziei, że wyłoni się z tego choćby maleńkie wspomnienie kobiety, która wydała go na świat. Teraz, kierując się w stronę balkonu w kulminacyjnym punkcie gry w woskowe ludziki, gdy mijał komodę, zauważył, że słońce wślizgnęło się między kryształowe flakoniki, które – jak wiele małych pryzmatów – rzucały na ściany pokoju kolorowe wiązki.

Widok tego tajemniczego cudu przyniósł mu chwilowe poczucie spokoju.

Niemal natychmiast jednak o tym zapomniał, bo teraz jego celem był balkon. Wbiegając na niego, miał wrzasnąć na całe gardło „Arimo”, by uniknąć schwywania i tortury łaskotek. Ten okrzyk miał być wyzwolicielski dla woskowych ludzików, a także dla niego.

Zderzenie z chwiejną balustradą z kutego żelaza zniweczyło jednak wszystkie plany. Nie odniósł wrażenia, że spada. Było tak, jakby świat przestał go nagle podtrzymywać i wszystkie materialne rzeczy umykały szybko za jego plecami, pozostawiając go w objęciach pustki.

• • •

Cisza i ciemność.

• • •

Gdy otworzył oczy, z trudem oddychał. Czuł się tak, jakby ktoś wepchnął mu siłą do gardła garść spleśniałej ziemi. W aureoli oślepiającego słonecznego światła rozpoznał twarze otaczających go woskowych ludzików. Pochylali się nad nim z rękami opartymi o kolana: wpatrywali się w niego tak, jak patrzy się na leżącą na asfalcie potrąconą ropuchę, ale nie mieli odwagi zbyt się zbliżyć, a przede wszystkim pozostawali w milczeniu. Ta cisza go zatrwożyła.

– Arimo – powiedział słabym głosem, byle tylko ich usłyszeć.

Ich przepełnione ulgą uśmiechy uświadomiły mu, że jeszcze żyje. Potem zdołał poruszyć głowę na tyle, że zobaczył klęczącego obok niego na żwirze ojca, który był blady z przerażenia. Miał zadyszkę, jakby przebiegł całe kilometry bez zatrzymania, i był zlany potem. Trzymał wciąż splecione dłonie na klatce piersiowej Pietra i naciskał rytmicznie na mostek jak tłok.

Gdy spostrzegł, że syn odzyskał przytomność, zatrzymał się. Był wyczerpany.

Co się stało? Pietro ledwie przypominał sobie upadek. Potem zalała go fala bólu, jakby jego ciało rozpadło się na tysiąc kawałków. Poczuł metaliczny smak krwi, głowę ścisnęła mu obręcz i nie mógł ruszyć prawą nogą.

Ale ciepłe letnie powietrze na powrót wypełniało jego płuca.

• • •

Chociaż dorośli z rodziny i ci z sąsiedztwa mówili o wypadku

jak o czymś, co go dotyczyło, Pietrowi wydawało się zawsze, że ich rozmowy odnosiły się do kogoś innego. Nie był zdolny pracować myśli o własnej śmierci, może dlatego, że był jeszcze dzieckiem.

Jego serce zatrzymało się na około pół minuty.

Uniknięcie śmierci nie było jednak wcale pocieszające wobec wyroku spędzenia reszty wakacji na leżaku z nogą w gipsie. Widok bawiących się kolegów był nieznośną dodatkową karą.

Początkowo przyjaciele przejawiali pewną ciekawość tym, co mu się przytrafiło, i pod pozorem złożenia podpisu na gipsie podchodzili do niego, żeby zapytać, czego doświadczył podczas tych sekund i czy zobaczył zaświaty albo czy spotkał Jezusa, Matkę Boską, diabła lub jakiegoś ducha.

Żeby ich nie rozczarować, próbował trochę naciągać prawdę. Ale potem poczuł się zmuszony przyznać, że w ciemności, w którą został wtrącony, nie było kompletnie nic.

Tak więc zainteresowanie nim osłabło i przyjaciele powrócili do łżejszych spraw, jak czerpanie radości z cudownego daru, jaki Bóg ofiarowuje zazwyczaj dzieciom: czyli z wakacji.

Ale wyglądało też na to, że Bóg nie miał zupełnie na uwadze biednego Pietra, bo co by go kosztowało unieruchomić chłopca w miesiącach, kiedy musiał chodzić do szkoły.

Od czasu do czasu kuzyn Iscio odłączał od grupy, żeby zagrać z nim w karty albo w Cluedo, ale bardziej z litości, a nie dlatego, że miał ochotę. Pietro był zmęczony tą jałmużną, nie mówiąc o torturze swędzącej nogi, której nie mógł podrapać, oraz upokorzeniu wynikającym z konieczności proszenia Adele, by towarzyszyła mu do toalety.

Ojciec, który ze względu na pracę kursował codziennie między Porto Ercole a Florencją, dla złagodzenia stanu bezruchu, w jakim znajdował się syn, przywiózł mu z domu Nintendo. Ale

nawet Super Mario i Luigi, zaufani towarzysze zimowych popołudni, nie byli w stanie podnieść Pietra na duchu. W ciągu paru tygodni stracił prawie całą opaleniznę, a jego skóra zaczęła przybierać ten sam koloryt co w styczniu.

- Jak się dziś czujesz? – pytał go codziennie ojciec.
- Lepiej – odpowiadał syn, nie wiedząc nawet, czy to prawda.

Odkąd zaistniało ryzyko, że wyzienie ducha, zachowanie ojca wobec niego uległo zmianie. Poza ogólnikowym pytaniem, które codziennie mu zadawał, zaczął też przyglądać mu się w dziwny sposób.

Ojciec miał wiele cech, których Pietro nie rozumiał. Zawsze był wobec syna raczej nieprzystępny. Natomiast w obecności innych całkowicie się zmieniał. Stawał się uroczy, prawdziwy kumpel. Szczególnie w stosunku do dzieci. Pracował jako psycholog dziecięcy i mali pacjenci zwracali się do niego „pan B.”.

Pan B. był zawsze potargany. Zimą nosił trencz, jak komisarze z niektórych kryminalów, a latem okropne i śmieszne sandały. Kieszenie miał zawsze wypchane lizakami i balonikami. Nawet przy obcych wybuchał donośnym śmiechem.

Po wypadku, który mógł kosztować Pietra życie, chłopiec zdał sobie sprawę, że – poza szczególnym sposobem, w jaki na niego patrzył – ojciec utrzymywał wobec niego rygorystyczny dystans. Pietro nie był w stanie zrozumieć, co go naszło.

Od pamiętnego pierwszego poniedziałku lipca często słyshał w nocy, jak ojciec spaceruje po korytarzu przed jego pokojem. Licząc w głowie kroki, chłopiec zorientował się, że pan B. docierał aż na próg. Ale nigdy nie odważył się go przestąpić.

Syn próbował wyobrazić sobie powód, dla którego ojciec zachowywał się wobec niego w tak dziwny sposób. Może pan B., podobnie jak przyjaciele Pietra, chciał go zapytać, czego

doświadczył przez trzydzieści sekund swojej śmierci. Chciał usłyszeć, że coś tam jest, jakaś nadzieja, która czeka na nas po drugiej stronie. Może pragnął tej odpowiedzi, żeby ukoić niewypowiedziany ból, który mu towarzyszył, odkąd utracił żonę. Trudno było żyć z takim cierpieniem i jednocześnie czynić wysiłki, by być najweselszym człowiekiem na świecie, myślał Pietro. I postanowił opowiedzieć ojcu jakieś kłamstwo, byle tylko w końcu zaznał spokoju. Ale pan B. na razie nie zadawał mu żadnych pytań.

• • •

Po południu ostatniej niedzieli lipca upał był tak uciążliwy, że dorośli drzemali zamknięci w domach. Tylko najmłodsi wytrzymywali skwar, który na pewno nie mógł powstrzymać pragnienia wspólnej zabawy.

W ten sposób od czternastej do szesnastej dzieci były jedynymi panami świata.

Podobnie jak rówieśnicy, Pietro nie czuł potrzeby spania, by uciec przed gorącem, ale noga w gipsie i tak nakładała na niego przymusowy odpoczynek. Usadowiony przy oknie w swoim pokoju, z rękami na parapecie, żeby oprzeć na nich podbródek, z nieszczęśliwą miną patrzył na przyjaciół, którzy kilka metrów poniżej ganiłi się i czaili, próbując się złapać.

Zaraz po wypadku rodzice z sąsiedztwa zabronili swoim dzieciom zabawy w woskowe ludozbiory. Twierdzili, że to zbyt niebezpieczne. Ale z upływem tygodni zapomniano o zakazie i ulubiona zabawa znów zajęła właściwe miejsce wśród letnich rozrywek; nikt na to nie narzekał ani się o to nie gniewał.

Za sprawą okrutnego losu ogród Gerberów wciąż pozostawał idealnym miejscem dla wyzwania między woskowymi ludzikami i żywymi. Po tym, co przytrafiło się Pietrowi, dostęp do

domu był definitywnie zamknięty. Ale na zewnątrz był labirynt żywopłotów z ligustru, jak również siedziska i ozdobne rośliny; wszystko to dalej oferowało doskonałe kryjówki.

Obojętna na to, co będzie czuł pechowy kolega, przyglądając się ich zabawie, pozostała siódemka z bandy zawzięcie oddawała się grze. Raz pojawił się nawet Carletto – udało mu się uciec przed zadaniami z algebry i kuratelą matki. Brakowało zatem tylko Pietra, który odczuwał kłującą zazdrość pomieszaną z nieznośną nudą. Jedynym pocieszeniem było to, że ze swojej uprzywilejowanej pozycji miał najlepszy widok na rozgrywającą się na jego oczach grę.

Rola pierwszego woskowego ludzika przypadła w udziale Dantemu i natychmiast złapał Giovannonego. Ale scena, której przyglądał się Pietro, ujawniła coś całkiem innego: jego potężny przyjaciel prawie nigdy nie był w stanie ukryć swojej postury i praktycznie sam oddał się w ręce wroga. Teraz obaj wymieniali się informacjami na temat prawdopodobnego położenia innych uczestników: zgodnie z regulaminem robili to tylko za pomocą gwizdnięć.

Pietro ocenił, że Deborah znalazła dobrą kryjówkę za stosem ściętych gałęzi, które pan B. zgromadził, porządkując trawnik. Również Iscio i Carletto byli dobrze schowani. Natomiast następny w kolejce do schwytania był Ettore. Mały Zeno, który teoretycznie ze względu na wiek miał w tej grze przewagę niskiego wzrostu, nie był jeszcze zdecydowany, gdzie znaleźć schronienie, i kręcił się zagubiony w swojej fioletowej koszulce Batigola, przez co pozostawał jeszcze bardziej na widoku.

Pierwsze oblawy przebiegały zazwyczaj dość spokojnie. Po tem, dokładnie w momencie, kiedy liczba woskowych ludzików przekraczała liczbę żyjących, rozgrywka nabierała rumieńców i zdarzyć się mogło wszystko.

Tak właśnie się stało, gdy do drużyny woskowych ludzików dołączyli Ettore i Carletto. Deborah została znaleziona, spróbowała ucieczki, ale w końcu znalazła się w potrzasku. Nie było już dla niej ratunku. Oczywiście każdemu pojmaniu towarzyszyły głośne śmiechy. I właśnie ten dźwięk najbardziej ranił niesprawnego Pietra. Kiedy wreszcie złapano też Iscia, wszyscy popatrzyli na siebie ze zdziwieniem.

Wyglądało na to, że jedynym żywym pozostał Zeno Zanussi.

Najmłodszemu z paczki przypadł już wcześniej zaszczyt wymówienia słowa „Arimo”, ale tylko dlatego, że raz na jakiś czas pozostali dobrodusznie pozwalali mu na radość zwycięstwa. A jemu oczywiście nie przeszło nawet przez myśl, że coś mu ułatwiono.

Nigdy jednak nie dotarł do ostatniego etapu bez pomocy pozostałych.

Szóstka przebywających w ogrodzie przyjaciół zaczęła gwizdać, by podzielić się swoim niedowierzaniem. Jednocześnie rozdzielili się, żeby wytropić ostatniego ocalałego, który – co było do przewidzenia – pozwoli się łaskotać aż do łez, zanim wypowie magiczne słowo kończące rozgrywkę, a także przerywające regułę milczenia i groźbę gwałtownej śmierci w ciągu trzech dni, jeśli ktoś odważyłby się pisnąć przed usłyszeniem „Arimo”.

Choć wykluczony z zabawy, Pietro był w stanie czuć radość z powodu Zena.

Mały musiał naprawdę dobrze się schować, skoro nie byli w stanie go wytropić. Mijały minuty i szóstka z ogrodu spodziewała się, że chłopczyk w każdej chwili się wyłoni: jego fioletowa koszulka mistrza znakomicie nadawała się na czekający go triumf.

Ale w to dokuczliwe niedzielne popołudnie jeszcze się nie

spodziewali, że Zeno Zanussi nigdy się nie pojawi, żeby wszystkich wyswobodzić. I że już wkrótce ta spokojna letniskowa okolica wypełni się samochodami z kogutami na dachu i mężczyznami w mundurach, którzy będą im zadawać miliony pytań. Nie wyobrażali sobie, że w kolejnych dniach i tygodniach grupy wolontariuszy będą przeczesywały bez ustanku lasy otaczające Porto Ercole. I że zdjęcie ich pięcioletniego małego przyjaciela pojawi się nawet w telewizji. Nie wiedzieli, że w następnych latach z okazji rocznicy jego zniknięcia w miejscowości będzie odprawiana msza w intencji tego, by Bóg pozwolił rodzicom i starszemu bratu dowiedzieć się chociaż, co stało się z dzieckiem.

Zeno Zanussi, zwany Batigol, miał już nie wrócić, by wypowiedzieć „Arimo” w Ogrodzie bez Nadziei ani gdziekolwiek indziej. A jego najlepsi przyjaciele mieli pozostać niewolnikami klątwy gry w woskowe ludziki. Na zawsze.

Wszyscy. Nawet Pietro Gerber.

1

23 lutego

– Tommi, czy mógłbyś jeszcze raz opowiedzieć mi historię rysunku?

– Naprawdę muszę?

– Tak, proszę.

– To stało się podczas przerwy. Nie wyszliśmy na dziedziniec, bo padało, więc jedliśmy drugie śniadanie w klasie razem z panią.

– Byli tam wszyscy twoi koledzy, tak?

– Federico i Gaia wyszli do łazienki – uściślił chłopiec.

Pietro Gerber zanotował w zeszycie ten pozornie nieistotny szczegół. Precyzja Tommasa wskazywała na to, że wyraźnie widzi scenę wyświetloną na ekranie jego przymkniętych powiek.

Mały pacjent był doskonale zanurzony w hipnotycznym doświadczeniu. Patrzył oczami umysłu.

– A więc co się wydarzyło? – naciskał terapeuta, podczas gdy elektroniczny metronom odmierzał dokładny odprężający czas.

– Giulio narysował na tablicy żyrafę, potem się odwrócił i powiedział: „To jest Ginevra”.

– Bo Ginevra jest bardzo wysoka, prawda?

– Najwyższa w klasie – potwierdził mały pacjent, wciąż kołysząc się w bujanym fotelu. – Wszyscy się śmialiśmy, bo to była prawda. Pani też się śmiała.

– A czy Ginevra obraziła się, że została porównana do żyraby? – zapytał Gerber, który ze swojego fotela obserwował każdą najmniejszą reakcję Tommasa.

– Nie, ona też się z nami śmiała.

– A potem co się stało?

– Giulio dalej rysował: Luca był tygrysem, Manuel gorylem, Virginia była zebrawą... – Wyliczając kolegów z klasy, Tommaso wydawał się spokojny.

Psycholog dziecięcy nie przestawał robić notatek: szybkie pociągnięcia piórem wiecznym po szorstkim papierze, elegancie niczym cięcia floretem.

– A kiedy przyszła twoja kolej?

Chłopiec na chwilę znieruchomiał.

– Giulio powiedział, że jestem ptakiem.

– Dlaczego ptakiem?

– Nie wiem – przyznał niechętnie Tommaso.

Gerber przerwał pisanie i dłonią, w której ścisnął pióro, uniósł okulary na czoło.

– To nic złego być porównanym do ptaka – stwierdził z przekonaniem. – Ptaki mogą latać: to musi być piękne móc pa-trzeć na świat z góry, nie uważasz?

– Ptaki robią kupę na ludzi i na różne rzeczy – odparł zjeżony chłopiec. – A poza tym chciałem być lwem – zakończył, wyraźnie zawiedziony.

W wieku siedmiu lat taka postawa była całkowicie naturalna i Gerber nie przywiązywałby większej wagi do tej reakcji, gdyby nie żywił podejrzenia, że kryje się za nią coś innego. Bo przy wypowiedaniu ostatnich słów ton Tommasa się zmienił:

stracił dziecięcą niewinność i stopniowo nabierał bardziej nienawistnego zabarwienia.

To nie był już głos dziecka.

Już od kilku sesji psycholog zaczął dostrzegać oznaki czegoś, co burzyło się w głębi psychiki młodziutkiego pacjenta.

Jakiejś nienaturalnej dla jego wieku wściekłości.

Nie był to pierwszy tego typu przypadek, z jakim się stykał. Widział coś podobnego w przeszłości. I bardzo mu się to nie podobało.

Gabinet na poddaszu starej kamienicy, kilka kroków od piazza della Signoria, był jak ciepły i gościnny brzuch dla dzieci, które zamieniały się miejscami w tym samym bujanym fotelu, zajmowanym teraz w półleżącej pozycji przez Tommasa. Ogień w kominku, drewniane belki, czerwony dywan z porozrzucanymi na nim zabawkami, kartkami i kredkami: doskonałe miejsce do słuchania pięknych bajek. Tyle że w tym pokoju to dzieci opowiadały, a ich opowieści były często pełne tajemniczych potworów i czasem nie miały szczęśliwego zakończenia.

Poza Pietrem Gerberem obecni byli inni niemi widzowie. W pluszakach, lalkach i różnych figurkach ukryte były elektro-niczne oczka, które rejestrowały sesje.

Usypiacz dzieci, najpierw za pomocą metronomu albo innej techniki relaksacyjnej, powodował, że mali pacjenci zanurzali się w sobie, a potem prowadził ich własnym głosem, dobierając starannie słowa, by czuli się zawsze bezpiecznie i pod ochroną.

– Chciałbyś być lwem – powiedział, potwierdzając pragnienie Tommasa.

– Tak, właśnie tak.

– A jak byś się czuł, będąc ptakiem?

Pacjent nie potrzebował wiele czasu do namysłu.

– Wściekły – oznajmił. Jego twarz wykrzywiła się w

grymasie gniewu, zacisnął pięści.

– Jesteś wściekły na swojego kolegę Giulia? – Gerber dalej go prowokował.

– Tak.

– Chciałbyś, żeby został ukarany albo żeby pani na niego nakrzyczała?

– Giulio musi umrzeć – stwierdził chłopiec bez wahania.

Psycholog odczekał kilka sekund, zanim znów się odezwał.

– Nie myślisz, że to trochę przesada? Nie wydaje mi się, żeby twój kolega zrobił coś tak bardzo złego.

Tym razem chłopiec nie odpowiedział.

Miesiąc wcześniej rodzice Tommasa zwrócili się do Pietra Gerbera, bo ich syn wciąż moczył łóżko. Zazwyczaj taki problem rozwiązywał się po cyklu sesji. Ale w tym przypadku już po pierwszym spotkaniu psycholog zorientował się, że coś jest nie tak. Pod hipnozą ujawniła się u dziecka niespodziewana tłumiona agresja, która coraz częściej przeradzała się we wrogie oświadczenia, jak to dotyczące szkolnego kolegi. Wszystkie miały u podstaw błahе dziecinne powody. Gerber zapytał rodziców chłopca, czy przypadkiem w sąsiedztwie nie miały miejsca jakieś rozboje dokonane przez nieznaną sprawców albo czy w domu nie doszło ostatnio do jakichś incydentów. Ojciec Tommasa potwierdził, że wokół ich domu, stojącego na przedmieściach Florencji, zdarzyły się drobne podpalenia śmieci albo zarośli. Potem dodał, że w ich garażu został zaproszony ogień, ale na szczęście natychmiast go stłumiono. Mężczyzna nie rozumiał, jaki związek mogło to mieć z moczeniem łóżka przez ich siedmioletniego syna.

Tylko specjalista mógł zinterpretować takie sygnały.

Moczenie nocne i piromania były objawami.

Gdy Gerber zapytał, czy mają jakieś zwierzęta, dowiedział

się, że siostrzyczka Tommasa miała małe akwarium z czerwonymi rybkami, ale ponieważ nie przeżywały dłużej niż tydzień, przestali je kupować.

Terapeuta zebrał te dane, by rozpocząć sporządzanie obrazu klinicznego, ale nie był jeszcze pewny diagnozy, więc zaryzykował:

– Tommi, czy ty zabiłeś rybki siostry?

– Tak – przyznał bez problemu znajdujący się pod hipnozą chłopiec.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie wiem – oświadczył Tommaso ze szczerością.

Ale Gerber był pewny, że kłamie: chłopiec doskonale wiedział, ale – mimo że stan transu sprzyja rozluźnieniu hamulców blokujących – jego psychika wstrzymywała tę informację. Najwyraźniej panował jeszcze nad zdolnością kłamania i udawania.

– W jaki sposób zabiłeś te rybki? Chcesz mi opowiedzieć?

– Włożyłem rękę do wody i wyjąłem je – powiedział obojętnie pacjent. – Ślizgały się, ale nie mogłem ich za mocno ścisnąć.

– Dlaczego?

– Bo inaczej by się zorientowali...

– Kto? Rodzice?

– Tak, mama i tata nie mogą się domyślić, że to ja. Więc trzymałem rybę w ręce i patrzyłem na nią, aż przestawała się ruszać.

Usypiacz dzieci zanotował:

Działa z premedytacją: uważnie kalkuluje ryzyko i obmyśla sposoby na zatarcie śladów, żeby zapobiec ewentualnym konsekwencjom.

– Co czułeś, widząc rybkę umierającą w twojej dłoni?

Mimo że chłopiec wciąż pozostawał nieruchomy, jego oddech przyspieszył, a źrenice pod powiekami gwałtownie się poruszyły. Gerber wiedział, co oznaczają takie reakcje, język ciała był jednoznaczny. Podniecenie.

– Nie było ci żal tej biednej rybki? – naciskał.

– Nie – powiedział Tommaso, przełknąwszy wypełniającą mu usta ślinę. – Podobał mi się ten widok.

Psycholog zapisał:

Brak empatii. Sadyzm.

Zamknął notes w czarnej okładce i oparł go na brzuchu; już wkrótce ten zeszyt trafi na swoje miejsce w archiwum obok przypadków innych pacjentów. Gerber przechowywał też starsze notesy, podobnie jak wcześniej jego ojciec.

Wciąż obserwował małego Tommasa z uczuciem frustracji. Czasem nawet największa niewinność kryje w sobie potencjalnie groźny charakter. Jeszcze nikt w obszarze klinicznym nie wyjaśnił, jak to jest możliwe, ale w tym chłopcu miało się coś mrocznego.

Inny Tommaso, który czekał tylko na okazję, by się ujawnić.

– Nie zrobiłbyś nigdy krzywdy swojej siostrzyczce, prawda, Tommi? – zapytał doktor Gerber, wiedząc już, że niezależnie od odpowiedzi, będzie musiał zachować czujność.

– Nigdy nie zrobię krzywdy siostrzyczce – odparł chłopiec. Ale jego ustępliwy ton kazał podejrzewać, że pacjent powtórzył tylko to, co dorosły chciał usłyszeć.

Usypiacz dzieci rozważał kolejne kroki. Nie była to łatwa decyzja. Zamierzał poddać Tommasa nie do końca ortodoksyjnej procedurze, wykraczającej poza granice profesjonalnej deontologii. Ale w ten sposób będzie miał przynajmniej coś do

zaoferowania temu chłopcu.

Nowy początek, jak mawiał pan B.

– Wierzę ci, Tommi – powiedział. Nie miało znaczenia, że wcale tak nie myśli. Chciał tylko uspokoić małego pacjenta, bo podjął już decyzję. – Ale teraz muszę wyjawić ci sekret.

– Jaki sekret? – spytał zaciekawiony chłopiec.

– To nie ty zabiłeś czerwone rybki.

– Nie? – zdziwił się Tommaso.

– W rzeczywistości to się nigdy nie stało. To był tylko sen.

– Sen? – Wydawał się sceptyczny.

– Zły sen – potwierdził Gerber, kłamiąc. – Dlatego teraz wytłumaczę ci, co zrobimy: pomogę ci go zapomnieć.

Tommi nie zareagował.

Wymazywanie pamięci pod hipnozą było praktyką zakazaną wśród psychologów; niektórzy uważali ją za etycznie niewłaściwą, bo niosła ze sobą poważną interferencję z wolą pacjenta.

Hipnotyzer uznał jednak, że nie ma nic do stracenia. Tommaso też nie, zważywszy na sytuację.

A ponieważ epizod z czerwonymi rybkami mógłby wyzwolić inne gwałtowne zachowania, to jego wyeliminowanie było słuszną decyzją.

– Jeśli dobrze zrozumiałeś, powtórz to, co przed chwilą powiedziałem – zachęcił pacjenta Gerber.

– Mam zapomnieć, że zrobiłem krzywdę czerwonym rybkom – oświadczył wyraźnie chłopiec.

– Otóż to, właśnie tak się stanie.

Trzeba było mieć nadzieję, że wyparcie pojedynczego zdarzenia wywoła w umyśle Tommasa reakcję łańcuchową, która przekieruje logiczne ścieżki, jakie doprowadziły go do zabicia biednych rybek.

Usypiacz dzieci nie mógł całkowicie usunąć jego instynktów,

ale mógł je jeszcze zahamować: zepchnąć do otchłani psychiki, gdzie kształtują się najgorsze ludzkie popędy.

– Teraz odliczymy razem do tyłu, zaczynając od dziesięciu – powiedział. – Potem będzie tak, jak kiedy budzisz się rano w łóżku: otworzysz oczy i zły sen zniknie.

– Zniknie – powtórzył pacjent.

Po zakończeniu odliczania chłopiec otworzył oczy i odwrócił się do psychologa.

– Jak mi poszło? – zapytał niecierpliwie, jakby chodziło o szkolną klasówkę. Nie pamiętał nic z tego, co wydarzyło się pod hipnozą.

– Znakomicie – oznajmił Gerber i na buzi Tommasa pojawił się szeroki uśmiech, odsłaniający braki w uzębieniu.

Jego umysł jest nadal plastyczny, uznał psycholog. Mamy jeszcze czas, próbował przekonać samego siebie. Bo Tommaso był słodkim dzieckiem i to, co mu się przytrafiało, było po prostu okrutne.

Mały pacjent wstał z bujanego fotela, a potem zdjął plecak i sportową kurtkę z wieszaka przy drzwiach. Miał beztroski wyraz twarzy.

Gdy stał odwrócony plecami, usypiacz dzieci jeszcze raz zapytał:

– Nie zrobiłbyś nigdy krzywdy swojej siostrzyczce, prawda, Tommi?

– Nie, nigdy – odparł zdumiony chłopiec z pozornym przekonaniem.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).